Cena 100 mk.
№ 21. Warszawa, 20 maja 1922. Rok III.

TYDZIEŃ POLSKI

SPOŁECZEŃSTWO A WOJSKO.

Stosunek społeczeństwa naszego do wojska jest może jednym z najwięcej uderzających przykładów niegłębokości naszych uczuć, zmienności nastrojów i powierzchownego, lekkiego traktowania najpoważniejszych zagadnień życia państwowego.

Pokolenia całe narodu polskiego wznosiły ku Bogu „ręce bezbronne z różnych końców świata“, prosząc „o broń i orły narodowe“:

„Pozwól nam modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych!...“

I oto armja narodowa, która jest spełnieniem tej modlitwy, wcieleniem tego marzenia o „broni i orłach narodowych“, staje się czemś tak powszedniem i obojętnem, jak gdybyśmy ją zawsze mieli, jak gdyby zbytecznem było dbać i troszczyć się o nią! O, zapewne lubimy patrzeć na ołtarze, zrobione z bębnów i dział, lubimy przyglądać się rewjom wojsk, zwłaszcza, kiedy przechodzą ułani, ale czy dbamy o potrzeby materjalne i moralne tych ludzi żywych, którzy noszą „broń i orły narodowe“?

Nie bynajmniej.

Nawet w 1920 r., kiedy toczyła się wojna na naszych kresach wschodnich, kiedy żołnierz polski miesiącami siedział w okopach, w szerokich kołach społeczeństwa polskiego nie troszczono się o los tego żołnierza, o jego potrzeby materjalne i duchowe. Nie myślała inteligencja polska nawet o tem, aby uświadomić tego żołnierza o przyczynach i celach wojny, aby stworzyć dla niego literaturę popularną, teatr i t. p. I dopiero latem 1920 r., kiedy zaczęły się porażki na froncie i wróg zbliżał się do Warszawy, przypomniano sobie o żołnierzu w społeczeństwie i zaczęto tworzyć na gwałt organizacje opieki nad żołnierzem i komitety propagandy.

Na chętnych do pracy w tych organizacjach i komitetach nie zbywało. Ale praca ta spóźniona, nie skoordynowana, źle zorganizowana mało na ogół przyniosła korzyści i w każdym razie niezmiernie mniej, niż mogłaby dać, gdyby podjęto ją wcześniej i planowo przeprowadzono.

Przyszedł pokój, z pokojem demobilizacja i inne kłopoty i o żołnierzu znów zapomniano, zapomniano o tym, kto swoją krwią i trudem obronił nas przed najstraszliwszem niebezpieczeństwem, jakie kiedy bądź Polsce zagrażało: przed zmorą, krwawego i niszczycielskiego obłędu, głodu, ludożerstwa i czrezwyczajek... Przecie jeżeli możemy w Polsce oddawać się pracy pokojowej na polach rozmaitych i żyć choć nieszczególnie, ale mniej więcej po ludzku, jeżeli ta straszna pustynia zagłady, która zaczyna się na wschód od naszej granicy i dla której w języku ludzkim właściwej nazwy niema,—jeżeli ta pustynia nie przesuwa się na kilkaset kilometrów na Zachód i nas nie ogarnia, to oczywiście nie dlatego, że są jakieś papierowe gwarancje, traktaty, umowy i uchwały konferencji, ale tylko dzięki temu, że jest wojsko polskie, trzymające straż na pograniczu życia i śmierci.

A my o tej naszej straży zapominamy i gorzej niż zapominamy. Na gruncie powojennych trosk i braków rozmaitych, niewygód, rozluźnienia obyczajów, obniżenia ogólnego poziomu powstają nieraz tarcia i nieporozumienia między ludnością cywilną i wojskiem, poszczególne wypadki zostają lekkomyślnie uogólniane, budzi się wzajemna niechęć. Społeczeństwo obojętnieje do wojska, wojsko wyodrębnia się od społeczeństwa. Są to smutne objawy, które należy uświadomić, aby jaknajprędzej kres im położyć. Wojsko powinno czuć się częścią społeczeństwa, społeczeństwo musi rozumieć i odczuwać swą łączność z armją.

Dlatego nie można nie powitać rozumnej inicjatywy Polskiego Białego Krzyża, który wystąpił z dobrze obmyślanym planem zorganizowania pracy społecznej dla wojska w zakresie kultury i oświaty. Inicjatywa ta instytucji, która złożyła już liczne dowody swej sprawności, powinna znaleść jak najszersze poparcie w społeczeństwie. Szeroka akcja społeczna, podjęta dla armji pod hasłem uobywatelnienia żołnierza, nie

będzie bynajmniej objawem wojowniczych nastrojów lub imperjalistycznych dążeń Polski. Praca kulturalno-oświatowa w wojsku zrobi żołnierza nietylko więcej świadomym obrońcą ojczyzny w razie wojny, ale też więcej pożytecznym członkiem społeczeństwa i w czasie pokoju. Walka z analfabetyzmem, która jest najpierwszem zadaniem tej pracy, przyczyni się do podniesienia poziomu kulturalnego Polski. Oczywiście praca ta owiana duchem patrjotyzmu powinna być absolutnie apolityczną. Polski Biały Krzyż, stojąc właśnie na tem stanowisku akcji partjotycznej, kulturalnej i apolitycznej, prowadzi ją w ścisłem porozumieniu z władzami wojskowemi i wzywa do współpracy wszystkich pragnących nieść pomoc armji.*)

*) Zapisy przyjmuje sekretarjat P. B. K. Święto Krzyska 5, w godzinach od 9-ej do 2 ej.

WYNIKI KONFERENCJI GENUEŃSKIEJ.

Wywiad z d-rem Panglossem.

(Z Genui od naszego specjalnego wysłannika).

Otrzymujemy od naszego korespondenta w Genui radjotelegram, który podajemy dosłownie.

Wczoraj w jednym z pierwszorzędnych hoteli Genui miałem zaszczyt zjeść śniadanie z najznakomitszym filozofem nowych czasów, twórcą filozofji optymizmu d-rem Panglossem, który udowodnił, że świat nasz jest najlepszym z możliwych światów i że wszystko, co się dzieje, dzieje się ku lepszemu. Oczywiście że skorzystałem ze sposobności poinformować się, co myśli wielki człowiek o Konferencji Genueńskiej.

— Konferencja Genueńska — odpowiedział filozof, — stwierdziła w zupełności mój pogląd, że wszystko w tym najlepszym ze światów jest w harmonijnym i celowym związku. Zważ pan: gdyby Kolumb, który się urodził w tym pięknem mieście. nie odkrył Ameryki, nie byłoby Stanów Zjednobzonych Północnej Ameryki i prezydenta Wilsona; gdyby nie było Wilsona, nie byłoby Konferencji Paryskiej i Traktatu Wersalskiego; a gdyby nie było Traktatu Wersalskiego, to nie byłoby i tej wspaniałej Konferencji, którą obserwujemy dziś, a wasz minister p. Skirmunt nie jadłby śniadania z p. Cziczerinem.

— Konferencja—mówił filozof—ujawniła wielki postęp humanitarny w tym świecie, w którym wszystko idzie ku lepszemu. Zważ pan. Dawniej, gdy łapano osobników nie szanujących prawa własności, postępowano z nimi w sposób nieludzki: fałszerzowi pieniędzy wlewano roztopione srebro do gardła, złodziejowi obcinano ręce, bandytom łamano kości na kole. Dziś zaproszono tych panów do Genui i zamiast barbarzyńskich tortur zmuszono ich tylko w ciągu pięciu tygodni wysłuchiwać rzeczoznawców, którzy w swych raportach wywodzili, że bez uszanowania umów i własności prywatnej nie może być handlu, że pieniądz prawdziwy jest lepszym od fałszywego, a waluta złota więcej warta od papierowej. Rezultat tej humanitarnej metody był wspaniały: złodzieje i bandyci nie tylko zgodzili się zaprowadzić u siebie złotą walutę, jeżeli dadzą im złoto, ale uznali i uszanowali własność prywatną...

— Jakto?

— No, oczywiście: czyż pierścień arcybiskupa Genueńskiego nie pozostał na palcu Jego Excelencji i czy król włoski nie zachował swego zegarka?

Uderzony trafnością tych sądów, myślałem, jednakże czy ten rezultat nowej metody nawracania bandytów, byłby również świetnym, gdyby na miejscu teoretyka Czyczerina był praktyk Radek, specjalista od zegarków? Ale nie chcąc zaprzątać uwagi wielkiego człowieka szczegółami, zapytałem jakiego jest zdania o twórcy konferencji Llojd-George'u?

— Llojd George, — odpowiedział dr. Pangloss — jest najzdolniejszym moim uczniem i jest najlepszym z możliwych premjerów w najlepszym z możliwych rządów parlamentarnych, które są najlepszą z możliwych form politycznych w tym najlepszym ze światów możliwych. Zrozumiał naukę moją, że wszystko w tym świecie ma swój cel rozumny: jak nos istnieje po to, by na nim siedziały binokle, tak po to istnieje parlament, aby była większość parlamentarna, na której premjer siedzi, i jak nikt nie pyta nosa o to, czy dobre są szkła w binoklach, lecz tylko poprawia binokle, gdy zjeżdzają z nosa, tak samo i Lloyd George nie pyta się o nic parlamentu, a tylko poprawia się w siedzeniu, kiedy zaczyna zjeżdżać i dalej siedzi...

— Ale — zapytałem — teraz, gdy Anglja dostała po nosie, czy nie spadną okulary, czy nie upadnie największy z premjerów po największej z konferencyj?

Wielki filozof zastanowił się chwilę i odrzekł z tą powagą i ostrożnością, które zdradzały w nim już nie tylko myśliciela. ale i wielkiego polityka:

— Jeżeli nie utrzyma się, to... upadnie.

— A co pan doktór myśli o Leninie?

— Lenin, — odpowiedział wychowawca Kandyda — jest też moim uczniem, albowiem formuła Marksa, którą stosuje do polityki Lenin: „im gorzej, tem lepiej", jest tylko wnioskiem z mojej przesłanki, że wszystko, co się dzieje, dzieje się ku lepszemu. Otóż Lenin...

Ale tu rozmówca mój nagle zakrztusił się i urwał, utkwiwszy wzrok przed siebie... Oglądnąłem się i zobaczyłem nieznajomego, który bacznie przyglądał się nam: był ubrany elegancko, po

europejsku w ręku trzymał cylinder, ale twarz jego! Twarz jego wyraźnie mówiła, że to... agent czrezwyczajki.

Patrzał przez chwilę na nas i nie spostrzegłszy nic podejrzanego, nieznajomy poszedł dalej witany głębokimi ukłonami kelnerów i spojrzeniami gości, w których ciekawość łączyła się z respektem...

Gdy znikł z oczu rzekłem do mędrca:

„O nauczycielu, któryś odkrył wielką prawdę, że wszystko idzie ku lepszemu w tym najlepszym ze światów, powiedz mi, dokąd idzie i do czego dojdzie Europa, jeżeli już w Genui jest czrezwyczajka?"

Lecz mędrzec stracił ochotę do rozmowy.

— Zostawmy tę kwestję do zbadania rzeczoznawcom, a teraz jedzmy i pijmy.

Najlepiej jest w naszych czasach nie zajmować się polityką.

Więc jedliśmy i piliśmy jak... rzeczoznawcy.

Niepolityk.

Źdźbło w oku bliźniego.

Artykuł p. K. Kierskiego (w Nr. 17 „Tygod. P") napisany bardzo gorąco w obronie wartości kulturalnych Poznańskiej dzielnicy, swojemu krytycznemi uwagami pod adresem innych dzielnic wywołał głosy protestu. Jednym z tych głosów jest artykuł p. Izy Moszczeńskiej, który chętnie drukujemy, uważając że polemika rzeczowa i w granicach umiarkowania prowadzona przyczyni się do pogłębienia kwestji.

Przyp. red.

Artykuł pana Kierskiego o „Rozdźwiękach Poznańskich" ma tę ogromną zaletę, że stanowi typowy wyraz owego „separatyzmu", o którym autor dowodzi, że go w Poznańskiem niema. Dla ścisłości stwierdzam, że zdaniem autora niema tam separatyzmu dla separatyzmu, a więc separatyzmu „an und für sich", jakby powiedzieli Niemcy. Oczywiście takiego nikt nie podejrzewał; zgóry wiadomo, że separatyzm Wielkopolan był czemś motywowany, a pan Kierski bardzo dosadnie i śmiało te argumenty wylicza: „Panuje tutaj głęboka nieufność do innych dzielnic ze względu na stosunki w nich panujące. Gdyby te dzielnice miały do wymiany i przeniesienia na grunt poznański jakieś wartości dodatnie a nie same ujemne(!), poznańczycy byliby pierwszymi unifikatorami. Krótko i węzłowato: po za Poznańskiem, w całej wreszcie Polski widzi Poznańczyk „same ujemne wartości". Nie można przyznać, aby taki sąd świadczył ze strony autora o dążności do „wzajemnego poznania się, porozumienia, usunięcia uprzedzeń i nieufności. Niedość na tem; te wartości ujmne są jeszcze wyszczególnione: „Wśród ludności wielkopolskiej utarło się mniemanie, że wszystko złe płynie z innych dzielnic —i anarchja społeczna i państwowa, i zgnilizna moralna i szkodnictwo narodowe". Czy autor chociaż zbija to mniemanie? Broń Boże! Poleca tylko zastanawiać się nad przyczynami, brać rzeczy głębiej... słowem, okazać niejaką pobłażliwość w nadziei, że i inne dzielnice wyjdą na ludzi, gdy się wzniosą do poziomu Wielkopolski... Zaiste, gdyby nawet wszystkie cnoty, jakie w Polsce znaleźć się mogą, skupiały się jedynie i wyłącznie na Wielkopolskiej ziemi, to w każdym razie wyjątek stanowiłaby skromność. W braku należytego dla swych cnót uznania, Poznańczycy tem zapalczywiej chwalą i wynoszą pod niebiosa samych siebie, bo oto jeszcze czytamy u pana Kierskiego: „Faktem jest, że na obszarze krajów zamieszkałych przez ludność polską, niema drugiego(!) zakątka ziemi, w którymby poziom uświadomienia narodowego był tak wysoki, jak w Poznańkach, jak Lwów, którego bohaterski patrjotyzm w dziejach Polski lecz w dziejach świata? Czy nic nie wie o męczeńskiem Wilnie, o tych ziemiach kresowych, których katusze dziesięciokrotnie przewyższają wszystko, co dla Wielkopolanina stanowiło najwyższą miarę prześladowań i ucisku. A jednak rodacy nasi przetrwali wszystkie próby i wiernością swą dla Ojczyzny odnieśli zwycięstwo ostateczne nad sprzysiężeniem wszystkich wrogich i wszystkich przyjaznych potęg świata? Jeśli słusznie zarzuca autor Warszawie, że zbyt mało zna stosunki panujące w innych dzielnicach i nie dosyć się nimi interesuje, to jednak żaden chyba Warszawianin tak daleko nie posuwa tej nieświadomości, jak ten, który mógł powyższe słowa napisać.

W Poznańskiem „walka polityczna i program pracy organicznej",—jak autor przyznaje —skrępowały skrzydła ideałów ogólnoludzkich, wykreślonych—zdawało się na zawsze—z repertuaru życia codziennego". Inne dzielnice toczyły również walkę polityczną—bardzo żywą, tam, gdzi była większa swoboda ruchu, bardzo ciężką tam, gdzie wszelka działalność polityczna, choćby tylko w dziedzinie uświadomienia narodowego, poczytywana była za przestępstwo karane więzieniem i zesłaniem. Znały też pracę organiczną i niemało w tym kierunku—mimo wielkich przeszkód — czyniły. Mimo to nigdy ideałów ogólno-ludzkich nie wykreślały z życia codziennego. Dzięki temu poza Wielkopolską rozwijała się jednak nauka polska, kwitnęła polska literatura i sztuka, bogacił się, urabiał i przechowywał w czystości język polski. Tylko też dzięki temu, dzięki napływowi rodaków z innych dzielnic mógł oswobodzony Poznań stać się ogniskiem polskiego życia umysłowego, rozbudzić w sobie ruch naukowy, literacki, artystyczny. Skądże tam wzięli się ci profesorowie, co „pełną garścią sypią ziarna wiedzy wśród publiczności poznańskiej"? Oczywiście ze Lwowa, Krakowa — może nawet znalazł się ktoś z Warszawy, tu u nas bowiem, choć nietylko pracę naukową lecz studja uniwersyteckie młodzieży utrudniono, byli zawsze tacy ofiarni ludzie, którzy, zmuszeni dnie poświęcać pracy zarobkowej, noce oddawali nauce, bez bez najmniejszych widoków zdobycia katedry niwersyteckiej, sławy i uznania, szczęśliwi, je-

śli znaleźli wydawcę.—Byli i tacy nawet, co pracowali nad badaniem dziejów Polski—choć nauczanie historji Polski w szkole było surowo zakazywane i karane.—To też u nas nikt nie ośmieliłby się tego, co polskie, nazwać reakcyjnem, bo u nas — wbrew wszelkim sztucznym zaporom—myśl polska pracowała, tworzyła ,rozwijała i w tym właśnie kierunku Wielkopolsce postępu życzyć należy. Wypadłoby zacząć od języka polskiego, który w Poznańskiem tylko „konserwowano", więc jak każda rzecz w stanie „zachowania", psuł się, podczas gdy w innych dzielnicach żył a więc zachował swą świeżość, czystość i swój rodzimy charakter. Nie jest zbyt chlubnem świadectwem poziomu uświadomienia narodowego takie karygodne zaniedbanie mowy polskiej, z jakiem się na każdym kroku spotykamy w Wielkopolsce. Świadczy ono, że tam nie odczuwano potrzeby kształcenia się w tym kierunku, że zbyt mało czytano po polsku, że nie utrzymywano duchowej łączności z ogniskiem kultury, nauki i twórczości polskiej.

Byłoby bardzo smutnym i niepokojącym objawem, gdyby Wielkopolska nie była świadoma swojej niższości w tym względzie, i nie pragnęła tej poważnej dodatniej wartości zaczerpnąć z innych dzielnic. Na szczęście, tak źle znowu nie jest. Jak widzimy, pełnemi garściami czerpać musi skarby gromadzone przez rodaków z za kordonu, a tylko tego w rejestr nie pisze, aby módz nadal prawić kazania i siebie pod każdym względem stawiać za wzór dla podziwu i naśladowania. Zresztą tu już poniekąd decyduje siła rzeczy. Nigdy nie zdołaliby Poznańczycy nietylko miejscowemi siłami obsadzić uniwersytetu lecz szkół i szkółek, których spolszczenie musiałoby być na daleki termin odroczone, bez „Galicjaków z Kongresówy". Nawet dla spolszczenia urzędów wręcz ilościowo zabrakłoby materjału ludzkiego, gdyż Wielkopolska wydawała niesłychanie mały procent t. zw. inteligencji. Przypuściwszy tedy nawet, że Wielkopolanin jest pierwszorzędnym typem Polaka, a stąd do wszelkich wyższych stanowisk w Polsce powołany przed innymi, tych wyborowych kandydatów jest zamało nawet na te posady, gdzie ich bardzo trudno zastąpić przybyszami z zewnątrz, nie znającymi miejscowych stosunków. Z drugiej strony nie można twierdzić, aby Wielkopolanie bardzo bystro się zorjentowali w stosunkach reszty Polski, co jest przecież bardzo pożądane, gdy chodzi o zajęcie stanowisk w rządzie centralnym.

Pan Kierski ubolewa nad tem, że niema w obecnym gabinecie ani jednego Poznańczyka. Przypomnieć należy, że w pierwszych gabinetach, tych, o których się tak ujemnie wyraża, zasiadali ministrowie z Wielkopolski: Englich i Hącia. Żaden z nich nie zadokumentował takich zdolności i nie położył takich zasług, które usprawiedliwiałyby wysokie mniemanie o Poznańczykach i potrzebę rządzenia Polską przez Wielkopolskę. To nie byli najlepsi,na jakich się Poznańskie zdobyć może... Zapewne, ale najlepszych dotąd nie dała też jeszcze Galicja, ani b. zabór rosyjski. — Widocznie jeszcze nie przyszła pora na najlepszych. Poniekąd dlatego zapewne, że dotąd każdy chce mieć „swoich ludzi", ze swojej partji, swego miasta, swego powiatu czy zaścianka, nie pytając, czy ten swój przyniesie chlubę s w o i m — a pożytek krajowi. Póki każda cząska Polski (nie wyłączając Warszawy) nie zrozumie, żé winna się Polsce podporządkować, a nie jej przeciwstawiać, póty trwać będzie choroba separatyzmu,

I. Moszczeńska.

ASYMILACJA.

Niedawno jeden z historyków zestawił szereg wybitnych pisarzy, uczonych i polityków polskich, urodzonych w byłej Galicji, którzy będąc synami urzędników austrjackich niemieckiej lub czeskiej narodowości, przysłanych w celach germanizacyjnych, potrafili już we wczesnej młodości przejąć się uczuciem najwznioślejszego patrjotyzmu i przyjmować czynny udział w polskim ruchu narodowym. Jeżeli proces zupełnego zlania się z otaczającem środowiskiem mógł następować tak szybko i tak gruntownie, to oczywiście musiały tu wchodzić w grę czynniki szczególne, które proces ten wywoływały. A był to objaw niezwykły to przejście od narodowości rodzicielskiej, która synowi wysokiego urzędnika otwierała piękne widoki na karjerę życiową, do narodowości, która w pierwszej połowie ubiegłego wieku nie była bynajmniej pod zaborem austrjackim związana z zaszczytami, a przeciwnie prowadziła często do więzienia stanu. Najważniejszym z czynników tych była szczytna ideologja Polski o wolność i niepodległość walczącej, a pociągająca ku sobie przez całych lat sto tyle szlachetnych jednostek z pomiędzy obcych społeczeństw. Sporadyczne wypadki polonizacji miały miejsce i pod zaborem pruskim aż do czasów ostatnich, a nawet i w byłym zaborze rosyjskim pomimo ogromne rożnice wyznaniowe kulturalne zdarzały się przypadki zupełnego polszczenia się przybyłych z Rosji urzędników.

Obok zaś owej ideologji drugim ważnym czynnikiem zdobywającym dla polskości wiele dodatnich jednostek z pomiędzy obcych społeczeństw, był wysoki poziom kultury towarzyskiej, który we wszystkich trzech byłych zaborach oddziaływał zawsze jako moment silnie przyciągający obcych.

Z chwilą odzyskania przez naród własnej państwowości i przejścia do bytu niepodległego przestała, rzecz prosta, istnieć i owa szczególna ideologja, która tak silnie przez dziesiątki lat promieniowała. Ale w miejsce jej zaczął działać przyciągająco i asymilacyjnie nowy czynnik — siła państwowości. Tylko że sposób i drogi działania tego nowego czynnika są zupełnie inne, aniżeli poprzedniego: być Polakiem obecnie to nie znaczy już jak to było dawniej, należeć do narodowości uciskanej, tracić często widoki na karjerę życiową; obecnie zaczęło się nawet dziać przeciwnie.

Gdy po wybuchu rewolucji rosyjskiej

i upadku caratu zmieniło się odrazu radykalnie stanowisko Polski i Polaków, można było zaobserwować ciekawe zjawisko. Oto do polskości zaczęli się przyznawać ludzie, którzy przedtem, będąc na służbie rosyjskiej bądź wojskowej, bądź cywilnej, skwapliwie unikali wszystkiego, co mogło ich narazić w oczach władz na nieprzyjemne podejrzenie, że są Polakami. Gdy zaś przyszedł przewrót bolszewicki i obywatel rosyjski nie był pewnym ani życia, ani mienia, wystąpiły na scenę dalsze konsekwencje. Oto o obywatelstwo polskie zaczęto się dobijać i starać gwałtownie, gdyż przez pewien czas w początkach rządów bolszewickich zapewniało ono pewne bezpieczeństwo. Piszący tę słowa miał możność przez czas dłuższy obserwować w Petersburgu tłumy „nowopowstałych“ Polaków, gdy jako przedstawiciel zrzeszonych organizacji polskich wydawał zaświadczenia o obywatelstwie polskiem.

Proces ów, rozpoczęty tam w Rosji wnet po wybuchu rewolucji i upadku potęgi rosyjskiej, trwa wciąż jeszcze w obrębie państwa Polskiego. „Polaków“ przybywa ciągle zarówno na kresach, jak i w stolicy, a dostarczają ich wszystkie narodowości w skład państwa wchodzące. Tylko, że wśród tych nowokreowanych Polaków nie tak łatwo byłoby znaleźć ludzi podobnych owym Polom, Szajnochom i Szmidtom, którzy ofiarnie składali wszystko swoje na ołtarzu polskiej ojczyzny; dzisiejszy neofita polski szuka przedewszystkiem karjery i zysku na terenie nowej potęgi państwowej. Zmieniający dzisiaj gwałtownie nazwisko swoje żyd-paskarz nie poszedłby tak łatwo w ślady owej młodzieży polskiej wyznania mojżeszowego, która przyjmowała udział w powstaniu styczniowem, szła na katorgę i zesłanie. Również i ten czy ów urzędnik — Niemiec w byłym zaborze pruskim nie z idealnej miłości dia Polski uczy się jezyka i pragnie na dawnem miejscu pozostać.

Nie ulega wątpliwości, że ilościowo Polaków ciągle przybywa, lecz jakość ich inaczej zupełnie wygląda. A na ową jakość obok już powyżej wymienionych czynników składają się i inne. Kto tylko miał możność w ciągu ostatnich dwóch lat okiem bezstronnem przyjrzeć się naszej polityce administracyjnej na kresach, ten musiał dojść do wniosku, ze tam robi się wszystko, aby od kultury polskiej odpychać wszelkie dodatniejsze jednostki z pomiędzy zamieszkałych tam obcych narodowości. Ideologja polska straciła dla nich swoje dawniej pociągające właściwości, a nowa państwowość polska nie potrafiła w zupełności stanąć na stanowisku tolerancyjnej i sprawiedliwej dawnej Rzeczypospolitej, która umiała tak często w ciągu dwuch pokoleń z obcego wiarą i językiem obywatela czynić najbardziej ofiarnego sługę ojczyzny, jak świadczą o tem liczne z dziejów Rusi przykłady. Stosunek królów i władz Rzeczypospolitej do szlachty i ludności kresowej, która jeszcze w ciągu wieku XVII w znacznej części należała do obrządku wschodniego i jak się wówczas mówiło „nie w unji była“, mógłby byc dosadnym przykładem przy obecnem regulowaniu spraw wyznania prawosławnego w obrębie państwa Polskiego. Podobnież i sprawozdanią z komisji do spraw żydowskich, wyłonionej pod przewodnictwem Kołłątaja z ramienia Sejmu Czteroletniego, mogłyby być może niejednokrotnie odnośnym drogowskazem politycznym.

Bądź co bądź stwierdzić należy, że siła przyciągajaca polskości na innych obecnie polega czynnikach. Podczas, gdy pokolenia roku 48 i 63-go przyciągały pod swoje sztandary walki o niepodległość wszystkich wojowników o prawa i wolność narodów, pokolenie dzisiejsze przyłącza do polskości przeważnie poszukiwaczów zysku i karjery.

Stefan Kramsztyk.

Społeńczestwo ukraińskie w walce politycznej.

Autorem artykułu jest p. Aleksander Salikowski, wybitny publicysta i polityk ukrainski, b. minister spraw wewn. w Ludowej Republiceo Ukraińskiej.

Przyp. red.

I.
Na Ukrainie.

W bardzo trafny sposób określił Winniczenko w swoim trzytomowym pamflecie pod tytułem „Odrodzenie Narodu“ tę siłę, która w pierwszym okresie rewolucji stworzyła cud potężnego narodowego zapału na Ukrainie po 270-ciu latach moskiewskiego ucisku. Tą siłą była „obudzona tkliwość“ do swego, rodzonego, przybitego, nawpółzapomnianego. „Zmęczony, jakby we śnie pogrążony, zastraszony instynkt samookreślenia się wobec istniejącego stanu cudowną siłą zerwał się na wolność we wszystkich kierunkach narodowego organizmu. Wszyscy razem! Wszystkie siły; wszystkie od pierwszej do ostatniej. wszyscy bez różnicy złączyli się w jedną całość, stworzyli jedną moc.“

Wyrazicielką tego entuzjazmu była „Centralna Rada“, która wykonała ogromną organizacyjną pracę w pierwszych tygodniach swojej egzystencji i która tak smutnie zakończyła swoje dni przy niemiecko-hetmańskim przewrocie 29-go kwietnia 1918-go roku. Samo przez się rozumiesię, że przyczyna upadka Centralnej Rady kryła się nie tylko w niesprzyjających warunkach zewnętrznych, w aljansie Niemców ze Skoropadskim, ale również i w niej samej, i tu prawdopodobnie kryje się największa przyczyna jej upadku. Siła roztrwoniła się i przeszła w słabość przedewszystkiem dlatego, że znikła jedność. Jedność zamieniła się w rozbieżność, partyjnictwo, wewnętrzną walkę. Tak się sprawa przedstawiała z jednej strony — jednak również duże znaczenie miało brak na Ukrainie własnego narodowo-ukraińskiego, państwowego, administracyjnego i sądowniczego aparatów i brak wśród inteligencji jednostek o szerokiem państwowem i administracyjnem doświadczeniu. Przed ukraińską rewolucją stały bardziej szerokie, bardziej skomplikowane i dlatego trudniejsze zadania, aniżeli przed rewolucją rosyjską; zaś rozporządzała ona znacznie mniejszą ilością sił, te siły wyssał moskiewski imperjalizm w przeciągu dwóch i półwiekowej eksploatacji Ukrainy. Ten sam moskiewski imperjalizm rzucił tu i wzmocnił czynniki wro-

gie wszystkiemu, co nie harmonizowało z asymilacyjną polityką Petersburga. Jednak nad tą stroną kwestji nie będę się zatrzymywał. Teraz chcę podkreślić tę smutną rolę, jaką odegrało w upadku Centralnej Rady i całym następnym biegu wypadków — drugie dziedzictwo niewoli — partyjność, grupowa rozbieżność z jej walką, starciami, sprzeczkami i drobnostkowością. W epoce „obudzonej tkliwości" egzystowały na Ukrainie trzy partje polityczne, które jednak występowały wspólnie przed ogólnym wrogiem, jednym narodowym frontem. W momencie hetmańskiego przewrotu podwoiła się ilość partyj, przyczem zjawiła się dyfferencjacja i wewnątrz oddzielnych, poszczególnych grup, jak np. u eserowców. Następnie trwał nadal proces rozdrabniania zorganizowanych narodowych sił, a w czasie teraźniejszym ilość ukraińskich narodowych partyj dodosięga co najmniej dziesięciu. Mówię w „co najmniej" dlatego, że nie włączam do tej liczby partyj Wschodniej Galicji i oddzielwych grup i kierunków wsród jednoimiennych partyj. Socjaliści — demokraci, socjal-rewolucjoniści (trzy walczące między sobą odłamy), socjal-federaliści (dawniejsi radykalni demokraci), socjal-samookreśleniowcy; ludowcy, socjaliści, partja pracy, narodowa partja, narodowi republikanie, chleboroby-demokraci, chleboroby-państwowcy, ukraińscy komuniści — oto jest spis teraźniejszych ukraińskich partyj. Mówiąc ściśle, nie są to partje, lecz fragmenty partyjnych organizacyj, pozbawione swoich centrów. Łączność pojedyńczych członków wszystkich tych poszczególnych ugrupowań polega nietyle na polityczno-socjalnym programie, ile na względach natury osobistej i na konkretnych politycznych celach najbliższego momentu. Przejrzawszy się przypuśćmystarej partji socjal-federalistów, począwszy od jej prawego skrzydła, skończywszy na lewem, widzimy, że do niej śmiało mogli wejść i chrześcjańscy socjaliści i socjaliści-samookreśleniowcy, i partja pracy i partja narodowo-republikańska, a w najgorszym razie całe jej lewe skrzydło, a tymczasem pomiędzy wspomnianemi grupami obserwujemy nietylko rozdział i rozdźwięk, lecz chwilami nawet silny antagonizm. Trzeba wziąść pod uwagę, że wszystkie ukraińskie polityczne partje, walczą o samodzielność państwową Ukrainy, a więc nazwa partji socjal-federalistów jest w gruncie rzeczy anachronizmem. Członkowie tej partji chociaż uważają federację za najlepszą formę państwowego ustroju, jednakże drogę prowadzącą do niej widzę tylko przez samodzielność państwową, nie przesądzając ani czasu federacji, ani też — kto ma wejść w skład przyszłej federacji. Ciekawym objawem jest fakt, że wrogość i antagonizm, w tak smutny sposób wpływający na twórczą pracę narodową i w tak ujemny sposób odbijający się na młodej ukraińskiej państwowości, są przez wszystkie organizacje w ciężki sposób przeżywane i odczuwane i wszyscy doskonale uświadamiają sobie szkodliwość takiego stanu rzeczy. Już oddawna przedstawiciele wszystkich ukraińskich politycznych kierunków i ugrupowań mówią o stworzeniu jednolitego narodowo-państwowego frontu, o konsolidacji wszystkich twórczych sił społecznych. Ale nietylko mówią, lecz nawet od czasu do czasu czynią próby wcielenia tej idei w życie.

Nie można powiedzieć, żeby próby zorganizowanego społeczeństwa ukraińskiego w kierunku zjednoczonej pracy politycznej i uzgodnionych czynów pozostawały bezskutecznemi.

Przeciwnie, te próby wydawały nawet niejednokrotnie dodatnie rezultaty, niestety były one zbyt krótkotrwałemi. Brak wytrzymałości i trwałej politycznej kultury — dziedzictwo wiekowego narodowego bezprawia — prowadziły i prowadzą do tego, że konsolidacja ukraińskich politycznych sił nie może zakorzenić się na dłuższy okres czasu i rozpada się, żeby po niejakim czasie, w większości wypadków w chwilach grożącego niebezpieczeństwa, nanowo wybuchnąć. Nie dotykając oficjalnego narodowego przedstawicielstwa, jak Centralna Rada, Kongres pracy, Rada Republiki, również wypełniające określoną konsolidacyjną rolę, przypomnijmy sobie organizację z czasów hetmańskich, jak wszechukraiński narodowy związek, na czele którego stał jeden z liderów S — F partji A. Nikowski, a potem S — d. W. Winniczenko. Związek ten w przeciągu krótkiego czasu zdołał otoczyć swemi filjami Ukrainę i energicznie przyczyniał się do konsolidacji wszystkich narodowo uświadomionych jednostek dla obrony rodzimej kultury i państwowości.

W łonie „narodowego Związku" powstała myśl o zarganizowaniu powstania w celu obalenia niemiecko - hetmańskiego rządu; związek ten wyłonił z siebie tak zwaną dyrektorję, która stała na czele wzburzonych mas narodowych i zawładnąwszy w grudniu 1918 roku Kijowem, zlikwidowała hetmańszczyznę. Dyrektorjat i zwołany przezeń kongres pracy niedługo jednak utrzymał się w ukraińskiej stolicy. Już w lutym 1919 r. Kijów przeszedł w ręce moskiewskiej czerwonej armji, a w przeciągu niejakiego czasu prawie cała Kijowszczyzna została okupowaną przez bolszewików. Nastąpił tak zwany kamieniecki okres ukraińskiej państwowości, kiedy czasową państwowa rezydencją byl Kamieniec-Podolski. W tym okresie skonsolidowane siły organizacyjno-społeczne koncentrowały się w Ukraińskiej Radzie Narodowej. Koordynując przedstawicieli wszystkich grup politycznych, Rada Narodowa cieszyła się szerokim autorytetem i aczkolwiek żadnej władzy nie posiadała i żadnego oficjalnego znaczenia nie miała, jednakże rząd uważnie liczył się z jej zapatrywaniami we wszystkich poważniejszych wypadkach. Między innemi przez Narodową Radę został zaaprobowany i tylko wtenczas ostatecznie zatwierdzony przez rząd sojusz U. N. R. z Polską na podstawie umowy z 22-go kwietnia 1920 r., który zawierał jak wiadomo przyznanie Niepodległej Ukraińskiej Republiki Narodowej i podstawy wojskowej konwencji między nią a Polską, skierowanej przeciw bolszewikom. **Al. Salikowski.**

PAŃSZCZYZNA KOMUNISTYCZNA i JEJ PLON GOSPODARCZY.

(Ze wspomnień i spostrzeżeń wygnańczych.)

II.

Bezwzględność, z jaką forsowano na Syberji daninę żywnościową, robiła wprost to wrażenie, że rząd moskiewski nie ma nadziei utrzymać Syberji długo w swych rękach i pragnie wyssać ją najgruntowniej, póki czas. Staw-

ki daniny, dyktowane gminom, były zazwyczaj stanowczo ponad ich siły. Jako przykład przytoczę włość aułzamajską, na wschód od tajszeckiej: pokryta po większej części tajgą, znana była jeszcze przed wojną z tego, że nigdy wyżywić się nie mogła własnem zbożem, lecz dokupywała je, płacąc produktami łowiectwa. I na tę włość w r. 1920 — nałożono 100.000 pudów ziarna daniny!

Najjaskrawszym bodaj objawem tej polityki była niesłychanie wysoka norma daniny siennej, którą jeszcze „za karę“ zdwojono, gdy gubernja krasnojarska pod normą pojedynczą stękać poczęła i uiścić jej nie zdołała. Rezultatem było padanie zdychających koni na ulicach Krasnojarska i masowe bicie bydła przez chłopów na wsi wbrew surowym zakazom.

Zaś ogólny wynik tej polityki na Syberji był jeszcze prostszy: w r. 1921 chłop syberyjski powiedział sobie, że nie będzie już, jak w r. 1920, siał i orał dla innych: kto dawniej uprawiał 30 dziesięcin, zasiał teraz na trzech, by wystarczyło tylko na wyżywienie jego, rodziny i bydła. Nie pomogły zapomogi w ziarnie i kampanje agitacyjne przez komitety za siewów (*„posiew-komy“*): danina żywnościowa, choć zredukowana i przechrzczona na „podatek żywnościowy“ (*„prod-nałog“*), nie dała już tym razem prawie żadnego rezultatu, i to jest jedna z przyczyn, dla których tak straszną klęską stał się głód na Wołgą, powstały wskutek posuchy i nieurodzaju miejscowego.

Już w r. 1920 drażniło ludność to, że wszędzie tylko—bo i we wszystkich częściach Rosji europejskiej — zbierano daninę żywnościową, a dla mas nie było widoczne, gdzie ją rozdano: tworzyły się legendy o wywożeniu zapasów zboża za granicę.

Ale jeszcze więcej musiał drażnić rolnika widok tego, jak fatalnie marnowały się nagromadzone zapasy żywności wskutek złych warunków zmagazynowania i przechowania: składów ani urządzeń zdatnych do prowadzenia komunistycznej polityki żywnościowej na wielką skalę (prócz kilku elewatorów nad Wołgą), po starym rządzie oczywiście nie odziedziczono, ani wybudować ich nie było możności, a personelu obznajmionego z techniką konserwacji zapasów żywnościowych również nie było skąd wziąć: nieliczni fachowcy siedzieli przeważnie po więzieniach, jako kontr-rewolucjoniści. W r. 1921 w areszcie przy czerezwyczajce w Krasnojarsku, gdziem się dostał w czasie najgorętszej wiosennej kampanji zasiewowej, zastałem siedzące tam już od sześciu tygodni prawie całe grono urzędników gubernjalnego oddziału agronomicznego, ludzi z akademickiem wykształceniem rolniczem!

Rezultaty były opłakane. Zamarzły prawie wszystkie zebrane *kartofle* — miljony pudów: toczyły się długie dyskusje w dziennikach o sposobie zużytkowania zamarzniętych kartofli, a w szerokich kołach ludności kartofle w zimie r. 1920/1921 stały się rzadkim specjałem. *Zboże* chłop często rozmyślnie dawał pomieszane w worku z grudami lodu, by przybyło ciężaru. Aparaty do przewiewania i suszenia zboża były rzadkością w stosunku do ogromnego ich zapotrzebowania, składów nie starczyło: zboże (jak u nas w Tajszecie), leżało sobie w stosach worków pod gołem niebem na mokrem podwórzu, i oczywiście z nastaniem

---

Mereżkowskiego list do Ojca Świętego.

Ojcze Święty! Imię Tego, z kim rozmawiali celnicy i grzesznicy, Kto nikomu nie wzbraniał przychodzić do Niego, niech będzie mi usprawiedliwieniem, że śmiem zwracać się do Ciebie, Namiestnika Jego.

Jestem tylko skromnym sługą słowa i chrześćjaninem. Świadek i uczestnik niesłychanych cierpień narodu chrześcijańskiego, do którego należy blizki świadek czynów tych, którzy nazywając siebie przedstawicielami tego narodu, zabijają go, — opuściłem ojczyznę w tym tylko celu, aby słabe siły swoje oddać dziełu odkrycia prawdy i szukania sprawiedliwości u ludzi, którzy Boga nie zapomnieli.

Nie jestem jeden. Za mną krew męczonych i rozstrzeliwanych, trupy gnijące bez pogrzebu, ograbione, zbezczeszczone świątynie, obłęd matek, zjadających dzieci swoje. I ze mną wszyscy, którzy jeszcze nie zginęli, giną, lecz chowają nadzieję na ratunek, jeżeli nie własny, to świata.

Z nimi razem wobec Boga żywego świadczę: ci, którzy nazywają siebie władzą rosyjską — nie w imieniu Rosji mówią, łgarzami są i zbójami, a nie władzą rosyjską. Zmęczone ludy Europy pragną pokoju i idą na oślep za oszustwem. Lecz niech pamiętają, że także ci sami oszuści oszukali i naród rosyjski; kiedy powiadają: „pokój“—wszechzgubę gotują.

Kapłani Kościoła Zachodniego na świętej ziemi Włoskiej ręką, która dotyka Boskiej Ofiary, ściskają okrwawioną dłoń mordercy. Czy wiedzą, co czynią?

Czy wiedzą, że w tym samym czasie w Rosji rabują i burzą świątynie, rozstrzeliwują lud, który zbiera się dla obrony kościołów, i pasterzy, że zrabowane święte przedmioty przetapiane są na sztuki złota i wywożone za granicę dla propagandy, że je pudami w Turcji sprzedają?

Czy wiedzą kapłani ci, że rozmawiają i układają się z gwałcicielami świata, którzy władzę zdobywszy znieważać będą i cudze kościoły, jak znieważyli swoje?

Ojcze Święty! W tej chwili, gdy losy się ważą nie tylko chrześcian wschodu, lecz całej chrześciańskiej ludzkości, zwracamydo się Ciebie z wiarą, nadzieją, miłością.

Połączenie Kościołów było oddawna modlitwą i westchnieniem proroczych umysłów, przewidujących katastrofę, która na nas spadła i światu całemu zagraża. Kościół powszechny — niech będzie Pasterz jeden i stado jedno — nasza nadzieja, nasza wiara, nasza miłość...

Lecz połączenie jest wielkim czynem miłości i ofiary dla obu Kościołów. A gdzie miłość tam duch Boży. A gdzie duch Boży, tam wolność. Czy

wiosny zaparzało się i psuło. Skandaliczny był początek stosunków handlowych republiki sowieckiej z Włochami; za przysłany do Odessy okręt z lekarstwami sprzedano im okręt zboża, które ku oburzeniu Włochów okazało się zepsute. Tłumaczono, że zwilgło w drodze na Czarnem Morzu!

Bydło, pędzone setkami wiorst na punkty zborne, trzymane tam w zagrodach bez paszy, wożone znowuż w wagonach tysiącami wiorst bez pojenia, padało jak muchy. Gdy je bito, nie umiano często (gdzie nie było pod ręką fachowców jeńców austrjackich i niemieckich) zużytkować tak ważnych produktów pobocznych, jak krew i kiszki: wiele tego w samym moim Tajszecie poszło do rzeczki Tajszetki, zanim przybył instruktor!

Co do *jaj*, sama władza sowiecka w urzędowej statystyce przyznała, że około 40% zebranych jaj zepsuło się wskutek nieumiejętnej konserwacji. Jakaż musiała być rzeczywista cyfra!

Zbierano i *kury* (pewnie żeby za dużo jaj nie było!). Sam widziałem leżące na brzegu Jeniseju w Krasnojarsku 2.000 wyrzuconych kur, które były zwiezione w stanie niewypatroszonym i zaczęły się psuć. Biedni mieszkańcy Krasnojarska—także nasi żołnierze —potrosze rozbierali i zjadali te nadpsute kury.

Tylko jednego mięsa ponoś nie zmarnowano, mianowicie *psiego*. Gdy dla gromadzenia cenionych na Syberji psich futer podyktowano daninę z psów (po jednym psie z każdych sześciu chałup), chłopi dawali z początku nietylko skóry, ale i mięso (dając przez to wyraz ironiczny swej ocenie położenia żywnościowego w kraju). Te bite psy notorycznie wmieszano między bite barany — których w ten sposób można było trochę zeskamotować! — i jestem przekonany, że w r. 1921, jako więzień w tjurmie krasnojarskiej, gdzie ku mojemu zdziwieniu dawano czasem zupę z mięsem (rzekomo baraniem), nieraz jadłem psininę.

Najproduktywniejszym bodaj okazał się właśnie *zbiór futer*, — nietylko psich, ale wiewiórczych i innych. Tutaj bowiem akcja już była racjonalnie zorganizowana przed nadejściem bolszewików przez ogromne kooperatywy środkowo-syberyjskie, które prowadziły handel zamienny z myśliwskiemi plemionami puszczy i tundry na północy Syberji, dostarczając im za to zboża, soli, amunicji, tkanin i innych rzeczy potrzebnych. Wystarczyło nałożyć rękę na tę dziedzinę działalności kooperatyw, by mieć futer poddostatkiem. I tu niedźwiedzia łapa sowiecka wiele napsuła — sporo i w zamieszaniu nakradziono,—ale w każdym razie zdaje mi się, że futra będą jedynym poważniejszym ilościowo i jakościowo artykułem eksportowym, którym w najbliższej przyszłości po wznowieniu stosunków handlowych z Europą Rosja będzie mogła płacić za to, co dostanie. Mogłaby płacić drzewem, ale w tym celu trzebaby zorganizować cudzemi rękami eksploatację ogromnych obszarów leśnych, która obecnie tak zamarła, że Rosja — Rosja! — sprowadza drzewo z Finlandji.

Gdy w takich całkiem nie wesołych barwach na tle ogólnej polityki aprowizacyjnej rządu sowieckiego przedstawiala się działalność nazewnątrz urzędu, w którym pracowałem, niemniej niepocieszające były wewnętrzne stosunki urzędowe. Zyskałem sobie poprawdzie pewną popularność u chłopów okolicznych przez ulgi, jakie im w moim ograniczonym zakresie działania sprawiałem co do daniny żywnościowej

---

dzieła miłości można dokonać rękami ludzi, głoszących rzeź powszechną, wojnę domową, jako jedyną metodę akcji społecznej?

Czyż dzieła wolności można dokonać rękami największych gwałcicieli, jakich znają dzieje ludzkości?

Niema lepszego sposobu dla odepchnięcia nie tylko Kościoła Wschodniego, lecz całego narodu rosyjskiego od Kościoła Zachodniego, wzbudzić nienawiść do połączenia Kościołów jako nowego narzędzia ucisku, nad porozumienie Stolicy apostolskiej z najzacieklejszymi wrogami narodu rosyjskiego, jego katami i zabójcami.

Wszyscy my, którzy Rosję kochamy, nie wątpimy, że blizkim jest dzień, kiedy jarzmo nienawistne będzie zrzucone. Lecz Rosja wyzwolona nigdy nie przebaczy tym, którzy korzystając z jej czasowej słabości, chcieli nałożyć na nią najcięższe kajdany. Nie, tego nigdy nie przebaczy Rosja ani w tem pokoleniu, ani w przyszłych. Jeżeli niewiarogodne się stanie, jeżeli będzie podpisany Konkordat Stolicy Rzymskiej z międzynarodową bandą opryszków, która nazywa się „rosyjską władzą sowiecką“, to święta sprawa połączenia kościołów na wieki upadnie.

I nietylko sumienie nasze chrześcian Wschodu, lecz sumienie całej chrześciańskiej ludzkości wcześniej czy później z oburzeniem powstanie przeciw temu dziełu czarnemu, albowiem zaiste niema dzieła ciemniejszego jak z Kościoła Bożego uczynić narzędzie Ducha Ciemności.

Niech nie będzie! Niech władze świeckie, które się dawno Boga wyrzekły, uznają władzę Bogu przeciwną, niech się kłaniają Bestji i mówią: „któż może oprzeć się Bestji!“. Ufamy że Bóg nie dopuści, aby się stała z rzeczy strasznych najstraszniejsza, aby Namiestnik Chrystusa błogosławił królestwo Antychrysta.

D. Mereżkowski.

* * *

OD REDAKCJI.

Przedrukowujemy list powyższy znakomitego pisarza rosyjskiego, jako dokument historyczny. Sprawa, która bezpośrednio spowodowała list ten, nie jest jeszcze przebrzmiałą, chociaż konkordatu między Stolicą Apostolską a sowietami o którym pogłoska tak oburzyła rosyjskiego pisarza — patrjotę i chrześcianina — niema właściwie. Tembardziej podjęte przez Mereżkowskiego zagadnienie w jego szerszem ujęciu, jako zagadnienie stosunku świata chrześćjańskiego do prześladowania Kościoła w Rosji (które trwa w dalszym ciągu), — stosunku sumienia ludzkości do zjawisk niewiarogodnych ale prawdziwych, które się dzie-

i robocizny sowieckiej, ale to też była jedyna może moralna sytuacja w tej mojej pracy służbowej. Przed nieliczną inteligencją miejscową— lekarzem, nauczycielami niższej szkoły realnej, różnymi rozbitkami z miast — musiałem ukrywać się ze swojem wykształceniem i swojemi interesami umysłowemi. A w urzędzie panowało wokoło mnie chamstwo i analfabetyzm. Nie miałem nawet tej pociechy, którą osładza sobie życie niejeden znękany biuralista: że po odrobieniu swojej ograniczonej liczby godzin wolny jest jak ptak. Wiadomo, że o wolności czyjejkolwiek i jakiejkolwiek w dzisiejszej Rosji mowy niema, i sam to mimowoli przyznał jeden z moich kolejnych zwierzchników, tajszeckich komisarzy aprowizacyjnych (były piekarz wojskowy), gdy raz w ferworze dyskusji nad uciskiem daninowym na zapytanie jednego z chłopów, czy w rewolucji rosyjskiej jest wolność, bez ogródek zawołał: „U nas wolności niema!“ Więc co do roboty biurowej: istnieje wprawdzie rządowa ochrona pracy: „Kodeks ustaw o pracy“, wydrukowany na arkuszu, wisi paradnie w każdej kancelarji sowieckiej. Jest tam zastrzeżony ośmiogodzinny dzień roboczy dla pracowników fizycznych, sześciogodzinny dla umysłowych. Ale „przeżywana przez nas przełomowa chwila dziejowa“, „wyjątkowe, krytyczne położenie Republiki“, „konieczność utrwalenia zdobyczy rewolucji“ i inne oklepane argumenty, bezustannie zniewalały do prac nadprogramowych: od „naczalstwa“ gubernjalnego sypał się grad telegraficznych rozporządzeń o nadzwyczajnych robotach, coraz nowych i obszerniejszych, wymagano *swiedienij*, czyli sprawozdań i wykazów statystycznych, w których jak w lesie bez końca się gubiono. Praca w godzinach wieczornych, nieskończone posiedzenia zarządu, zapełniane nieudolną i bezradną gadaniną, urzędowanie w niedziele i święta, były zjawiskami stałemi. Urząd stał „harówką“ moją i drugiego kolegi z wojsk polskich, który przybył później. Gdyśmy Tajszet opuszczali, mógł każdy z nas po kolei powiedzieć, jak tysiące naszych rodaków po urzędach sowieckich w Rosji w tym samym czasie: *Après nous le déluge*.

To samo działo się w innych dziedzinach służby publicznej; bywały wypadki, że praca na kolejach dochodziła do czternastu godzin na dobę. Oczywiście, równomiernie z przedłużaniem czasu pracy padała jej wydatność, i bezskutecznie usiłowano przeszczepić na grunt sowieckiej pracy publicznej wyrobiony przez amerykańskich kapistów „system Taylora“, czyli sposób wyciskania maximum produktywności z robotnika. Tak samo premje dla pracowników, zaprowadzone już jako otwarte naruszenie zasad komunizmu, niewiele pomagały, bo obliczenie ich było niesłychanie skomplikowane a przedewszystkiem wydawnictwo nader nieregularne.

Wszystko to nie było jeszcze straszne dla człowieka, przywykłego do pracy na sposób zachodni. Ale gorszą daleko zmorą, jak dla wszystkich pracowników-inteligentów w Republice sowieckiej, stała się dla nas ta najwymyślniejsza tortura, jaką dla znęcania się nad inteligencją w państwie bolszewickiem wynaleziono, mianowicie tak zwane *woskresniki i subbotniki*, czyli „niedzielki“ i „sobótki“, jak je ponętnie nazywali polscy komuniści.

(D. n.) !

Dr. Roman Dyboski,
profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego

---

ją w Rosji, a na które świat cały obojętnie patrzy, to zagadnienie nie przebrzmiało i list Mereżkowskiego zasługuje na uwagę.

„Świat Ojcze Święty wzywa Cię na oswobodzenie narodów“,—temi słowy na przyjęciu u papieża Piusa IX przemawiał w r. 1848 Adam Mickiewicz, usiłując pozyskać Stolicę Apostolską dla sprawy wyzwolenia ludów i legjonu polskiego we Włoszech. Gdy wieszcz uniósł się trochę, papież przerwał mu dobrotliwie: „Mniej głośno, mój synu, mów nieco ciszej“. Figlio non tanto forte, alzate troppo la voce“. (*Wl Mickiewicz*. Legjon Mickiewicza, str. 39).

Pius IX nie uważał, aby nastała chwila stosowna wołać głośno na świat cały i budzić uśpione sumienie ludzkości. Czy też i dziś odpowiedzią Piusa XI na list rosyjskiego pisarza, list który jest już nie przemówieniem, lecz krzykiem rozpaczy, będzie dobrotliwe: „Synu mój, mów nieco ciszej!“

Więc i dziś nie nastała chwila budzenia sumienia ludzkości?

O, dziś sen głęboki sumienia ludzkości jest głębszym, niż kiedykolwiek bądź.

Zdaje się, że to już nie sen normalny, a letarg, w który zapadła ludzkość. Jest dużo prawdy w tem, co pisze w „Czasie“ (№ 109) autor artykułu: „Dekadencja Europy“:

„Europa zatraciła swe sumienie. W rzeczy samej kołuje ona beznadziejnie w labiryncie, z którego wydobyć się nie może; wszystkie jej wysiłki spełzły na niczem, wszystkie jej idee i doktryny jedne po drugich bankrutują, gdyż zaślepioną jest egoizmem i nienawiścią. One to nie dają jej odnaleść drogi, która z labiryntu wyprowadza. Szukamy nibyto drogi jakiejś idealnej sprawiedliwości; już naszym pojęciom demokratycznym nie wystarczają ani powszechność i równość wyborcza, ani sprawowanie przez masy najwyższej władzy, ani strychulec ustroju społecznego, niwelujący wszystkich, zdolnych czy niezdolnych, do jednej miary, a tymczasem nie mamy w naszych sumieniach ani jednego z tych haseł, które głosimy na zewnątrz, opieramy zaś wszystko na kłamstwie, na oszukiwaniu siebie i drugich, na udawaniu, i skłębieni w jednem wielkiem oszustwie staczamy się wszyscy razem w przepaść, zjadając oszczędności moralne i materjalne, pozostałe nam po dawnych pokoleniach“.

Tak, zjadamy oszczędności moralne i materjalne. Zwołana pod hasłem „odbudowy Europy“ Konferencja Genueńska była obrazem tego „zjadania“. Jej bankructwo sromotne jest jednym z dowodów, że „skłębieni w jednem wielkiem oszustwie“ nadal staczać się w przepaść będziemy, jeżeli nie obudzi się sumienie ludzkości.

LITERATURA I SZTUKA.

MARCELI PROUST.

Szersza publiczność francuska zetknęła się bodaj po raz pierwszy z imieniem Marcelego Prousta przed paru dopiero laty z okazji przyznania mu nagrody imienia Goncourt'ów za jego powieść *A l'ombre des jeunes filles en fleurs.* Wybór Akademji dziesięciu spotkał się wówczas z bardzo nieżyczliwem przyjęciem całej niemal prasy, zwłaszcza zaś codziennej. Zaznaczyć jednak trzeba, że argumenty wysuwane przeciw autorowi nie dotyczyły właściwie literackich wartości jego dzieła. Zarzucano mu przeważnie jego wiek i fortunę. Proust uchodzi istotnie za człowieka bogatego, a w momencie otrzymania nagrody liczył lat czterdzieści siedem, co sprzeciwiało się, jak twierdzono, zasadniczym intencjom fundatora nagrody, mającego na celu popieranie talentów młodych i oryginalnych.

Zarzuty te nie wytrzymują krytyki. Twórczość Proust'a nasuwa pewne zastrzeżenia, nikt jednak nie może mu odmówić talentu i bardzo wybitnej indywidualności. Pozostaje tedy kwestja wieku. Ale w zapale protestów przeciw jego bliskiej pięćdziesiątce, zapomniano, że wystąpił na widownię literacką bardzo późno i że książka nagrodzona przez Akademię Goncourt'ów była dopiero (pominąwszy zbiór szkiców i essayów p. t. *Pastiches et Mélanges* —drugiem z kolei ogniwem cyklu utworów, objętych ogólnym tytułem *A la recherche du temps perdu*, a stanowiących dotąd cały jego dobytek. Pierwszy z tych utworów *Du côté de chez Swann* ukazał się w r. 1913-ym. Niezmiernie wątłe zdrowie, wymagające nieustannej pieczy, przedłużyło tu okres przygotowawczy ponad zwykłą miarę. Wbrew więc aktom stanu cywilnego, Marceli Proust jest pisarzem młodym i jest nim nietylko dlatego, że tworzy zaledwie od lat dziesięciu, ale więcej jeszcze ze względu na charakter jego dzieła, wnoszącego do analizy psychologicznej nowe pierwiastki, przetwarzające płodnie jej metody.

Poza dwiema wymienianemi powieściami, serja utworów poświęconych odnajdywaniu chwil, które czas uniósł już w swym biegu, składa się z dwóch jeszcze powieści. Pierwsza z nich nosi tytuł *Le côté de Guermantes*, druga *Sodome et Gomorrhe.* Ta ostatnia składa się z dwóch części, z których druga ukazała się dopiero w druku.

Skrzętnie, niezmordowanie wspólny bohater wszystkich tych książek, bratnio podobny do autora, wskrzesza w nich, siegając najdawniejszych wspomnień młodości i lat dziecinnych, wszystkie momenty swojej przeszłości, a na ich tle wydarzenia i postacie, z któremi związane sa, zbliska czy zdaleka, jego własne przeżycia i dzieje. Nie wnioskujmy stąd jednak, że dzieło to jest monumentalną autobiografją, rozciągniętą na osiem czy dziewięć tomow, i to w wydawnictwach *Nouvelle Revue Franqaise*, o tekście niepomiernie zwartym i ścisłym, niemal, że bez marginesów, który wypełniłby w innych edycjach co najmniej dwa razy większą ilość stron. Niewątpliwie, myśli, wrażenia i uczucia bohatera odzwierciadlają światopogląd autora i jego stosunek do obserwowanych zagadnień. Bezsprzecznie też ujawnia Proust czytelnikowi subtelny mechanizm własnej wrażliwości, pokazując mu niemilknące nigdy zaciekawienie tego bohatera wobec wszystkich fenomenów życia wewnętrznego, — zaciekawienie, wyrażające się zarówno w poddawaniu drobiazgowej analizie każdego swego odruchu i porywu, każdego drgnienia swego serca, jak w szukaniu wszędzie i zawsze, poza faktem, gestem i pozorną pobudką, czynów nieskończenie skomplikowanej sieci czynników, które je tłomaczą i określają. Niemniej jednak nie jest to dzieło historją jednego żywota i nie probujeześrodkowywać naszej uwagi na jednej postaci. Możnaby je nazwać raczej kroniką psychologiczną doby, w której kadry zamknął ją pisarz w czasie. Centralnym zaś niejako punktem tej doby jest okres sprawy Drejfusa.

Ta kronika, ujęta w formę powieściową, nie da się opowiedzieć, tak nikłą rolę odgrywa w niej fabuła. Jak w *Komedji ludzkiej*, wypełnia ją rój postaci, ale Proust nie porywa ich jak Balzac w wir wydarzeń. W pierwszym tomie *Sodomy i Gomory* poświęca zgórą sto stron wieczorowi u księżnej de Guermantes. Nie wiele krótszemi są w tejże i paru innych książkach opisy różnych przyjęć u państwa Verdurin, arcymiljonerów i melomanów, pnących się daremnie do arystokracji i mszczących się za różne daremne próby nawiązywania stosunków, z jej autentycznymi przedstawicielami, pogardą dla nich, afiszowaną tem hałaśliwiej, im dotkliwiej odczuwają gorycz tych zawodów. I tu i tam żadnych wydarzeń, ale przed oczyma czytelników przesuwa się galerja typów, zaobserwowanych z nieomylną przenikliwością człowieka, który przypatruje się swoim współbliźnim z zainteresowaniem jaknajgłębszem, ale beznamiętnem, który nigdy nie popuszcza wodzy fantazji. W tym stosunku do obserwowanych zjawisk niema tak samo miejsca na potępienie jak na niczem nieuzasadnioną pobłażliwość, a tem mniej jeszcze na wszelkie niedomówienia, obsłonki i wstydliwe odżegnywanie się od rzeczy, których widzieć nie chcemy. Proust nie zamyka oczu na zadne ułomności natury ludzkiej: chce widzieć wszystko, ale zobaczywszy, nie ciska gromów, nie osądza. Dowiódł tego najwymowniej w swej *Sodomie i Gomorze.* Jego pan de Charlus, wysuwający się na plan pierwszy, budzi raczej politowanie. Proust skreślił z niezrównanem mistrzostwem portret tego potomka najstarszej arystokracji rodowej, dumnego z szeregu antenatów, jakim nie mógłby może poszczycić się żaden z jego współczesnych, pełnego pychy i arogancji, ale jednocześnie nieopisanego lęku, że nosi na sobie piętno swych zboczeń fizjologicznych, i że — gdy chciałby ukryć je za wszelką cenę — przemawiają z całej jego fizjonomji i całego wzięcia i zdradzają straszliwą tajemnicę. Takim przynajmniej widzimy go w pierwszym tomie *Sodomy i Gomory*, wątpię

zaś, by w dalszych (jest ich trzy jeszcze) mógł zmienić się w czemśkolwiek zasadniczy charakter i ton dzieła. Krytykowano w tej książce realizm pewnych szczegółów, faktem jest jednak, że to śmiałe i wyraźne traktowanie przedmiotu nie zatrąca nigdy perwersją, ani chorobliwem podnieceniem, które, od czasów Wilde'a wydziela się z tylu książek, poruszających ten temat ubocznie niejako i ukradkiem, ale zawsze z nietajoną lubością. Książka Proust'a powinna położyć kres długiemu poetyzowaniu zjawiska patologicznego.

Zarzucano mu niejednokrotnie snobizm; zarzucają mu po dziś dzień światowość. Najbliższymi sąsiadami rodziców jego bohatera w posiadłości wiejskiej, gdzie spędzają lato za jego wczesnej młodości, są z jednej strony niejaki Swann, człowiek wybitnej inteligencji i rozległej kultury, przyjaciel księcia Walji, przyjmowany mimo burżuazyjnego pochodzenia (jest ponadto żydem) w najbardziej zamkniętych kołach arystokratycznych, z drugiej zaś jedna z przedstawicielek reprezentującej najlepiej te koła rodziny de Guermantes. W latach dziecinnych bohatera rodzina ta, słynąca ze swej nawskroś rasowej elegancji, połączonej z przysłowiowym dowcipem, ukazuje mu się zawsze w aureoli niedoścignionego ideału. Ale czas zmodyfikuje ten pogląd. Pan de Cherlus jest, mówiąc nawiasem, jednym z członków tego wielkiego rodu. Dodajmy, co się tyczy Swanna, że szalone małżeństwo tego ostatniego z głośną eks-kokotą, Odette de Crècy zmieniło powoli sferę jego stosunków. Chcąc wprowadzić żonę do jakiegokolwiek towarzystwa, Swann musi szukać ludzi, którzy zgodzą się nie tylko na zaadeptowanie jej, ale i na okazywanie jej względów. Bohater Proust'a, zaprzyjaźniony ze Swannami i widziany jak najlepiej przez Guermantes'ów, obracać się będzie w tych dwóch światach. I niewąpliwie, mamy czasem wrażenie, że autor wywodzi rodowody swych arystokratycznych postaci z niewytłomaczonem dla nas upodobaniem. Ale dysekuje je z drugiej strony z takąż precyzją i dokładnością, jak wszystko co przesuwa się w polu jego wizji. Bo ta wizja chłonie z nienasyconą ciekawością obrazy życia, by szukać niezwłocznie pod blichtrem pozorów rzeczywistej treści i ogołacać gesty, czyny i namiętności z całego fałszu osłaniajacych je konwencji. Burzy ich skomplikowany aparat cięciami pewnemi i niezawodnemi, wydobywając z poza sofistyki argumentów, któremi tak chętnie okłamujemy samych siebie, utajone gdzieś na dnie duszy pobudki istotne, które wyprowadzą zawsze w końcu na jaw ten czy inny nieświadomy refleks naszego ja wewnętrznego.

To dzieło tak nawskroś przysycone treścią i ujawniające jedną z najbardziej ciekawych i odrębnych fizjognomji literackich nasuwa jednak, jak zaznaczyliśmy na wstępie, pewne zastrzeżenia najszczerszym nawet zwolennikom talentu Proust,a. Stanowi mianowicie lekturę ciężką i trudną. Przedewszystkiem, brak tu całkowicie podziału na rozdziały. Każda powieść cyklu rozsnuwa się nieprzerwanym ciągiem przez czterysta lub pięćset bitych stron, nie dając nigdy naturalnego wytchnienia oku i myśli. Dopiero pierwsza część *Sodomy i Gomory* jest nieco krótsza, a wraz z tem tekst wydaje się mniej zwarty. Sama już przeto zewnętrzna strona tych książek musi budzić pewne wahania w przeciętnym czytelniku, Przypuśćmy jednak, że je przezwyciężył. Niestety, staje wnet wobec nowych trudności. Styl Proust'a jest często męczący i skomplikowany; zdania osiągają nieraz niebywałą długość, a że towarzyszy jej czasem niezbyt poprawna budowa, wnikamy wówczas w ich treść dopiero po parokrotnem odczytaniu. Niewątpliwie nieustająca nigdy analiza pojęć, uczuć i wrażeń, cierpliwe ich rozczłonkowanie, rzucanie na ekran wszystkich oblicz każdego zjawiska — wszystko to wymaga nieraz z konieczności formy poniekąd abstrakcyjnej. Ale abstrakcja nie potrzebuje bynajmniej iść w parze z zaciemnieniem, głęboko zaś oryginalna myśl Proust'a wypowiadała się nieraz w niedość jasnej formie. Musimy jednak dodać, że w pierwszej części *Sodomy i Gomory* styl staje się już o wiele prostszym, a nieskończenie długie okresy nierównie rzadszemi. Co znaczą zresztą te usterki wobec ogólnej doniosłości dzieła, które odkrywa przed nami coraz nowe widnokręgi życia wewnętrznego.

Marja Rakowska.

Z POETÓW ARMEŃSKICH.

LEON ALISZAN.

II. Genjusz Armenji.

Gdzie ty jesteś, gdzie jesteś, genjuszu armeński?
[minąłeś, ach minąłeś!
Długie, siwe stulecia upartemi klęski
Naszą świętą ojczyznę złowrogo urzekły —
I czarną ją i białą zasłoną oblekły:
Aż piękno jej rozwiane przez ten kir męczeński
Minęło, ach, minęło!

Owy świat, skąd się mnogie wyroiły światy,
Co z gardzieli swych rozsiał plemiona rozliczne —
Ten genjusz przemyślnemi palcami bogaty,
Który z miłością tworzył rzeczy niebotyczne,
Minął, ach minął!

Duch, co pierwszy kamienne jął budować gmachy,
Co łono gór przebijał — jako drzewne deski —
Co murami tamował dna morskiego piachy,
Co twierdze sew opierał aż o strop niebieski:
Co zmieniał w rzek korytach krzywy bieg na prosty
I otchłań unicestwiał wiszącemi mosty —
Minął, ach, minął.

Duch, obrońca ojczyzny — z południa, z północy —
Co pierś osłaniał tarczą, łamiąc miecz przemocy;
Co biegł do mądrych Aten, gdzie muzie helleńskiej,
Stawił wbrew niezwalczony swój genjusz armeński—
Minął, ach, minął.

Słyszycie grzmoty bębna? Drga serce rycerzy!
Hej, nadeszło ojczyzny uroczyste święto.
Chwała wam wojownicy! Oto bój się szerzy.
Żywie duch. waszą mocą zbawion nieugiętą,
Krew na skroni wam wieńce purpurowe splata!
Ormianie, gdzie dziś wasze zasługi dla świata?
Minęły, ach, minęły!

Dumają starce, w pląsy uderzą młodzieńce,
Skromne dziewice płoną, jak różane wieńce:
Wojownikom szlachetnym cześć oddają w tanie.
O cnoto, tyś jest wieczna. Tylko wy, Ormianie,
Minęliście, minęli!

Minął nasz blask, minęło nawet nasze imię,
Armenjo, gdzie jest dzisiaj twa zamarła świetność?
Gdzie twoich mądrych synów wysiłki olbrzymie?
Gdzie twoich dzieci dawna wielkość i szlachetność?
Gdzie czyny, co się nigdy nieminione zdały?
O, jako niezliczone twoje dawne chwały —
Minęły, ach, minęły!

Niechaj miną podobnież serca mego chmury!
Niech padną na kamienne Armenji wertepy!
Przez tej ziemi odwiecznej doliny i góry —
Przechodziły tysiączne różnych ludów szczepy.
Przechodziły Kaukazem, gdzieś z ziemi dalekiej —
I przeszły — i minęły — na wieki, na wieki —
Minęły, ach, minęły!

Czarną księgę Armenji czytajcie narody!
Gruz kamieni -- spoczynkiem dziś Hajka rodziny:
Pogodny śród umarłych wieczystej pogody —
Pradziad nasz odpoczywa ze swoimi syny!
O, mówcie, czy Armenja na wieki usnęła?
Śpi, lecz nie minęła, nie minęła!

O genjuszu armeński, o armeński ludu —
Oto sen cię owionął długi i głęboki,
Lecz nie śmierć beznadziejna! Kto, zdolny do cudu.
Naród mój na żywota nowego uroki
Przebudzi: — temu oddam skarby drogocenne!
Oddam wszystko za słowo zaklęcia płomienne,
By nie stało się, że minęło.

Kiedyż zbudzi się Hajka gorejąca dusza?
Kto wywoła nanowo ojczyzny genjusza?
Wstań, o potężny duchu — i zbudź się sam z siebie:
Tóż pomnij, że moc twoja urodzona w niebie:
Niech samoblask wytryśnie z ciemni twej głębokiej.
Wstań, dość snu — idź na szczyty, twojej nocy
Mroki — minęły, ach, minęły.

O zaklina was książe, woła was, Ormianie!
Genjusz jest naszem życiem! Niech się genjusz [stanie.
Mały on czyli wielki, niechaj cześć go wita,
Oto on, już się budzi, zmartwychwstaje, świta.
Zapromienieje tęczą na te życia gody,
O Armenjo, dowiedzą się jeszcze narody, —
Żeś nie minęła, nie minęła!

Przełożył **A. Lange**.

Edward Gordon Craig.

O SCENIE I RUCHU.

II.*

Chcąc otrzymać wskazówki, jak projektować i naklejać sceny i jak uczynić je pięknemi, praktycznemi i niedrogiemi, należy wraz ze mną pracować, gdyż wszelki teoretyczny wykład pisany byłby w tym kierunku bezpożyteczny.

Ze swej działalności artystycznej przypominam sobie fakt, gdy, mając lat 21, wystawiałem „Henryka IV“ wedle typu tradycyjnego. Pracowałem w teatrze, gdzie stołki, stoły i inne drobiazgi wystawy grały zbyt doniosłą fotograficzną rolę. Nie znając nic lepszego, musiałem iść po tej drodze i w myśl tej tendencji, jako wzoru. Poumieszczałem tedy zwykłe stoły i stołki, zwykłe drzwi, okna z ramami i zasłonami, nieco pomiętemi, angielskie landszafty i t d.

Cała moja praca ówczesna opierała się na tych niedorzecznych niezliczonych detalach, które winne były być, jak przypuszczałem, źródłem całego wykonania. Jedynie, gdy wymiotłem z głowy wszystkie te śmieci i nie pozwoliłem sobie więcej patrzeć na scenę oczyma aktora z czasów Keana—wtedy dopiero zacząłem znajdować coś nowego, niepozbawionego znaczenia dla sztuki. Dlatego też wyłożyć tu, jak urządzać wystawę sztuki teatralnej, jest dla mnie rzeczą nie do pomyślenia. Doprowadziłoby to do najfatalniejszych błędów. Wszak widziałem niektóre inscenizacje, które uważane były za wystawione wedle mojej metody. Było to niepojętnie szkaradne.

Mam zwyczaj rozszerzać swą inscenizację, rozkrzewiając ją nietylko poza granicami danej sztuki, lecz nawet gruntownie do tych szerokich wzlotów myśli, które powstały we mnie wskutek sztuki lub nawet wskutek innych sztuk tego samego autora. Naprzykład: wzajemny związek „Hamleta“ i „Makbeta“ jest nader blizki. Jedna ze sztuk może wpływać na drugą.

Jak widać, nie wzdragam się od wyjaśnienia rozmiarów i określenia moich dekoracyjnych koncepcji i wszelkich szczegółów, związanych z ich kolorem, światłem, materjałem i t. d., lecz tylko to mógłbym wyjaśnić, co mogłoby przydać się w ciągu dwuch, trzech lat dla inscenizacji różnych sztuk z wystarczającym „efektem“, by zadowolić zainteresowanie bardzo wielu widzów.

Nie jestem stronnikiem i wyznawcą „krótkich dróg“ w sztuce; nie dążę do tego, co wywoła „efekt“ i jako tako się opłaci. Wnikam w samo serce rzeczy, kochając je i rozumiejąc. Z tego względu podchodźcie do nich ze wszech stron, otoczcie je, nie odrywając się myślą o scenie, jako o celu wystarczającem sobie, o kostjumach, jako o takimże celu, lub myślą o reżyserji, albo czemś podobnem. Nie traćcie nigdy z oczu swego postanowienia — dotarcia do samych tajni, do wielkiej tajemnicy, kryjącej się w stworzeniu nowego piękna. I wtedy właśnie wszystko będzie dobrze. Gdy przygotowuje się sztukę i umysł skierowany jest na inscenizację—niechaj sztuka nagle zacznie skakać przed oczyma. Należy wtedy śledzić bieg akcji, ruchu i głosu. Niczego nie należy jeszcze postanawiać, przeskakując ku coraz innej myśli, innej części całości sztuki. Obserwować należy ruchy, oderwane od scen, od kostjumów — same jeno ruchy. Należy często mieszać ruchy osoby z ruchem widzianym w danej scenie oczyma duszy inscenizatora. Następnie należy nałożyć barwy na cały obraz, potem zmyć barwy i wszystko rozpocząć znowu. Obecnie obserwować trzeba tylko słowa. Kręcić niemi należy tak i owak, odrywając je od jakiegoś olbrzymiego i niemożliwego obrazu. Następnie należy obraz ten uczynić możliwym przy pomocy słów. Czy zrozumiałe jest, co mówię. Należy rozpatrywać przedmiot ze wszystkich punktów widzenia, przez pryzmat wszelkich środków

---

*) Początek w Nr. 19 T. Pol.

i nie trzeba zaczynać pracy, dopóki określony środek nie zniewoli do rozpoczęcia. Prędzej można zaufać pobocznym wpływom, które popchną wolę i rękę, aniżeli uwierzyś własnemu, biednemu mózgowi ludzkiemu. Tego rodzaju inscenizacja nie może być metodycznie wykładana w szkole. Rezultat, jaki się ma na widoku,—to zgodność; zaś o harmonji wiele powiedzieć nie można. Mocne, mechaniczne nauczanie istotnie może być bardzo pożyteczne dla klasy, lecz niezupełnie wskazane jest dla poszczególnej indywidualności. Jeśli przychodzę uczyć całą klasę, to nie tyle uczę ją słowami, ile pokazami praktycznemi.

Między innemi podkreślić tu muszę kilka momentów, których wystrzegać się należy. Naprzykład: nie trzeba zabiegać o książki kostjumologiczne. Jeżeli znajdując się w kłopotliwej sytuacji, zwrócić się do jakiejkolwiek z tych książek, spostrzedz można odrazu, jak znikomo pomoże ona do wyjścia z trudnego położenia; lepiej też nigdy nie komplikować sobie pracy podobnemi informacjami. Zachowujcie jasność i świeżość. Jeżeli nauczycie się, jak narysować postać, jak narzucić na nią kolet, odzienie nóg, strój głowy, i następnie poprzemieniacie te pokrycia na wszelkie sposoby—powabnie, zabawnie i pięknie — osiągniecie o wiele więcej, aniżeli trudząc oczy i mózg wszelkiemi kostjumologjami. Kostjumy w kolorach — są najgorsze. Należy się ich obawiać i być w najwyższym stopniu niezależnym, gdy się obmyśla to, co się widziało. Do obrazków tych należy się odnieść z całkowitą nieufnością. Jeżeli w rezultacie dojdzie się do wniosku, że znajduje się w nich wiele dobrego,—niezbyt będzie to mylne. Lecz jeżeli zaaprobuje się je całkowicie i odrazu, — wszystkie myśli własne, czucie, przy tworzeniu kostjumu. będą utracone.

Należy jaknajmniej przerysowywać z kostjumologji, choćby tak dobrych, jak Le Duca, rysując natomiast ustawicznie kostjumy wyobrażalne (np. kostjum barbarzyński dla człowieka chytrego, odważnego, mściwego i t. d., a dalej ubiór dla figury boskiej i demonicznej i t. p.)

Lecz główna trudność w tej dziedzinie wiedzy tkwi w kostjumie masy. Omyłka wszystkich reżyserów teatralnych polega na tem, że rozpatrują oni kostjumy masy poszczególnie, indywidualnie.

To samo się dzieje, gdy rozważają ruchy, mianowicie ruchy mas na scenie. Należy pilnie tej omyłki unikać. Słyszymy często, że każdy aktor trupy Meiningeńskiej, tworzącej wielki tłum w „Juljuszu Cezarze“, grał swą własną, specjalną rolę. Może być to bardzo interesujące jako curiosum, i ciekawe dla mało uświadomionej widowni, która oczywiście zachwyca się: „ach jak zajmujące jest iść zobaczyć tego człowieka w kącie, co gra swą maleńką rolę. Jak cudownie“. Zupełnie, jak w życiu!“ Jeżeli taka jest nasza dewiza, taki nasz cel, wtedy, oczywiście, wszystko w porządku.

Lecz wiemy, że nie to jest naszym celem. Masy winny być traktowane jak masy: jak je traktuje Rembrandt, jak Bach i Bethoven. Zaś szczegół nie ma nic wspólnego z masą. Szczegół jest bardzo dobry sam w sobie i na swojem miejscu. Nie należy osiągać wrażenia masy, skupiając razem mnóstwo szczegółów. Szczegóły tworzą masę jeno z tych ludzi, którzy lubią wymuszoność; o wiele łatwiej skupić mnóstwo szczegółów, niż stworzyć masę, posiadającą piękność interesującość. Zwłaszcza, że na scenie wszystko powraca do wyglądu naturalnego, chociażby usiłowano nawet stworzyć ową wymęczoną strukturę. Setki ludzi tworzy tłum, lub — przypuśćmy — cały Rzym jak np. w „Juljuszu Cezarze“. Stu ludzi — i każdemu polecono, by grał swą maleńką rolę. Każdy więc gra siebie, dając ujście swy własnym okrzykom. Każdy ma własny krzyk, acz wielu z tłumu kopjuje najbardziej efektowne krzyki. Zaś po pierwszych dwudziestu przedstawieniach, wszyscy wydają jeden i ten sam okrzyk. Każdy z nich ma swą własną rolę, lecz po dwudziestu wieczorach zamienia się ona na najbardziej efektowną i popularną rolę. Tym sposobem bardzo ograniczony tłum ludzi, wymachujący orężem i wydający okrzyki, jednoczy się i sprawia na niektórych widzach wrażenie olbrzymiego tłumu. Na innych wśakże sprawia to wrażenie jeno nieładu na stacji kolejowej.

Należy unikać podobnego systemu operowania masami. Należy unikać t. zw. „naturalności“ w ruchach, jak i w inscenizacji i kostjumach. Naturalność wstąpiła na scenę dlatego, że sztuka zaczęła więdnąć, stała się przesadna i niedorzeczna. Lecz nie należy zapominać, że istnieje rownież *szlachetna* i *dostojna* sztuczność.

(Tłomaczył Eugenjusz Świerczewski.)

SZTUKA PLASTYCZNA WSCHODU.

I. BUDOWNICTWO.

2. Staro-chrześcijański armeński kościół kopułowaty.

Dopóki budownictwo kopułowate ograniczało się do domu i do pałacu, i zaspakajało potrzebę przestrzeni przez zestawienie pokojów mieszkalnych, nie mógł się ujawnić rozwój kopuły, przeznaczonej dla głównego monumentalnego pomieszczenia. Rozwój ten uwydatnił się dopiero wtedy, gdy się zjawiła kopuła centralna i gdy zadaniem jej stało się zaspakajać wymagania wielkich przestrzeni. Urzeczywistniło się to w chwili, gdy kopuła miała stać się nietylko domem, lecz również oddzielnie stojącem miejscem zebrań. Potrzeba ta wynikła jednak wtedy, gdy chrześcijaństwo przedsięwzięło przetworzenie sakijskiego kopułowatego domu mieszkalnego na dom boży, a zarazem dom dla zebrań gminy.

Żyjemy w przekonaniu, że chrześcijaństwo na całym, wielkim obszarze, na jakim jest rozpowszechnione — u Partów i Medów, Elamitów i mieszkańców Mezopotamji, w Judei i Kapadocji, w Poncie i Azji, we Frygji i Pamfilji, w Egipcie i na kresach Libji, koło Cyreny, u podległych Rzymowi barbarzyńców, u Żydów i ich współplemieńców, Kreteńczyków i Arabów, jak to czytamy w Dziejach Apostolskich — 2, 9/10 — wzięło bazylikę za podstawę budownictwa kościelnego. Tak nie jest i przyjmując to twierdzenie, historja sztuki stała dotychczas na fałszywym gruncie. Raczej właśnie na tym obszarze, na którym chrześcijań-

stwo zostało wcześniej niż w krajach zachodnich religją państwową, a mianowicie w Armenji, rozwinął się typ kościoła z komórki kopulastej. Zasadnicze uświadomienie sobie, wyjaśniające zmaganie się kopuły z bazyliką w dalszym ciągu rozwoju zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie, musi tu być wyczerpująco udowodnione. Należy sobie uprzytomnić, że kościół ortodoksyjny wyrósł całkowicie na budownictwie kopułowatem, że również w krajach zachodnich od czasów renesansu kopuła wprost nadała kierunek rozwojowi budownictwa. Z drugiej zaś strony staje się rzeczą coraz jaśniejszą, iż dom kopułowaty panował również w okolicach morza Śródziemnego w czasach przedmiceńskich i prawdopodobnie za pośrednictwem Hetytów przedostał się do płaskowzgórza armeńskiego, względnie do Iranu. Starochrześcijański kościół kopułowaty podejmuje zatem typ wymarły już nad morzem Śródziemnem, utrzymany jednak na dalekim wschodzie. Zasadnicza różnica polega jedynie na tem, że przeddziejową postacią była budowla okrągła, podczas gdy kopuła, występująca już w czasach historycznych, wznosi się na podbudowie czworokątnej.

W następstwie posiłkować się będę przy przedstawianiu staro-armeńskich kościołów zdjęciami, jakie zrobiłem jesienią 1913 roku w rosyjskiej części Armenji przy współudziale kilku członków Instytutu historycznego Uniwersytetu Wiedeńskiego i Armeńskiego budowniczego, Toramaniana.

Armeńskie budownictwo kościelne wiąże się bezpośrednio z kwadratowym domem kopułowatym. Wobec tego, że kwadrat ze swą kopułą i pośredniczącemi trompami jest jak gdyby pojedyńczym i ze wszech stron swobodnym kryształem budowlanym i poza tem doszedł do olbrzymich rozmiarów, wysunęła się z konieczności na pierwszy plan sprawa rozmieszczenia napięć i ciśnień. W ten sposób powstał pierwszy typ budowlany starochrześcijańkiego kościoła armeńskiego, t. j. kwadrat z przybudówkami (konchami). Rozpatrując tego rodzaju budowle, weźmy np. pod uwagę katedrę z Mastary, zbudowaną około 650 roku, jak o tem można sądzić z napisów. Nosiła ona nazwy świątyni chwały boskiej, domu modlitwy sprawiedliwych, miejsca oczyszczania grzeszników i pomnika fundatora. Nie jest to, rzecz prosta, pierwsza budowla tego typu, powstałego o dwa lub może trzy stulecia wcześniej. Na trzech stopniach stoi kwadrat zasadniczy (12×11,20 m.), z którego wszystkich czterech stron występują pięcioboczne konchy, w ten sposób, że środkowa strona biegnie równolegle do boku kwadratu, co umożliwia utworzenie dachu piramidalnego, opierającego się o wielobok, opatrzony oknami olbrzymiej kopuły centralnej, zakończonej również piramidalnym dachem kamiennym. U brzegu dachu widać małe fryzy zębate, jakie odnajduje się również na tem samem miejscu już w dawnych, irańskich pomnikach Achamanidów.

Powyższa budowla działa na mieszkańca krajów zachodnich w sposób niezwykły. A jednak, tu właśnie brał początek ruch, który, opierając się na układzie konch, wykształcił różne odmiany budownictwa, stosownie do tego, czy trzymano się ściśle planu kwadratowego, czy też ustawiano bezpośrednio jedne obok drugich, cztery, sześć lub osiem konch. Te armeńskie budowle nie mają nic wspólnego z drugim szeregiem budowli kopulastych, które już za czasów helenizmu, prawdopodobnie również pod wpływem Iranu, przewędrowały przez Mezopotamję i Syrję na Bałkan i do Konstantynopola i w budowli ośmiobocznej, takiej, jak tak zwana bazylika kopulasta, cieszyły się krótkim rozkwitem w granicach staro-chrześcijańskiej sztuki śródziemnomorskiej. Zostały one stamtąd również wyparte około 1000 roku przez typ, który uczynił kwadrat panującym kształtem przestrzennym olbrzymich budowli i który typowo sakijsko-armeńskim sposobem łączy ten kwadrat z tamburem przy pomocy tromp. Najstarsze przykłady tego budownictwa na gruncie greckim wykazałem w klasztorach Dafni pod Atenami i Hosios Lukas między Parnasem i Helikonem, następnie w Neamoni na wyspie Chios; nie chcę tutaj bardziej się w nich zagłębiać. Ten pierwszy bowiem, powszechnie znany wpływ dziedzin sakijsko-armeńskich na okolice morza Śródziemnego ,nie umiał się utrzymać wobec innego, którego najdawniejszą warstwę znamy jedynie z literatury, ale który wyraził się w panującej postaci budownictwa w sztukach plastycznych wschodu, a mianowicie w kościele o planie krzyżowym z kopułą. Przeniósł go na zachód pierwszy przedstawiciel dynastji armeńskiej na cesarskim tronie Bizancjum, Bazyli Macedończyk (867—886), budując swój kościół pałacowy „Neę". Rozwój tej budowli występuje wyraźnie w Armenji, stamtąd też, a nie dopiero przez Bizancjum rozpowszechnia się oną na całej przestrzeni kościoła ortodoksyjnego.

Wobec małych rozmiarów tej pracy przeskakuję kilka armeńskich postaci przejściowych i stawiam bezpośrednio obok kościoła Mastary typ sali kopułowatej z Talisz, która według napisu erekcyjnego sięga roku 670. Założyciel jej, książę Mamikonian (około 662—685) i małżonka jego, Helena, stworzyli w nim dzieło budowlane, którego typ odżył ponownie w Rzymskiem Gesù: jest to podłużny gmach, którego przestrzeń całkowicie objęta jest jedną kopułą. W budowli tej poświęca budowniczy troistość naw na rzecz bocznych pomieszczeń, otwierających się poprzecznem sklepieniem kolebkowatem w stronę kopuły, do której przylegają kolebki podłużne. Już w Armenji zastępowano układ konchowy przez kolumny wewnętrzne, z chwilą, gdy tylko użyte (zamiast konch) sklepienia przylegające do kopuły na to pozwalały. Gmach, o którym mówimy, rozpada się w kierunku swej długości na trzy części, oddzielone od siebie potężnemi słupami. Część wschodnia, przekształcona w chór, wykazuje pewne rysy typowo armeńskie, których tu bliżej rozpatrywać nie będziemy. Wogóle wspominam o typie tym jedynie dlatego, że ma on znaczenie dla zrozumienia sztuki włoskiej i dowodzi, że wschód na tysiąc mniej więcej lat wcześniej szedł własnemi drogami. Dla sztuki ortodoksyjnej typ ten również nie przedstawia głębszego znaczenia. Ciągle jeszcze wykazuje on kopułę wspartą na filarach, podobnie jak w kościele o kopule krzyżowej. Ten ostatni rodzaj nie bierze za punkt wyjścia budowli podłużnej, jak hala z kopułą, lecz jedynie budowlę centralną, a przedewszystkiem opiera się prawdopodobnie na budowli z przybudówkami (konchami). Zasadniczy ten typ odtwarza nam katedra w Bagaran, założona w roku 624, za czasów Chostrawa II

(Parwez 590—628), ukończona w 631 roku przez księcia But, względnie przez jego małżonkę, Annę. Widzimy, że jeszcze się tu utrzymały konchy, posiadają one jednak znaczenie czysto formalne, pod względem konstrukcyjnym stały się zbędne, gdyż wstawione filary mają wystarczyć do podtrzymania kopuły. Grubości 1,32 m., stoją one w rogach wielkiego kwadratu kopułowatego o wymiarach 5,45 m., przechodzącego w koło przy pomocy tromp. Kopuła z Bagaranu niestety się zawaliła. Chcąc zatem dać wyobrażenie o wyróżniającej ją konstrukcji, wspomnę o katedrze w Mren, wystawionej, sądząc z napisów, za czasów cesarza Herakljusza około 637 — 640 roku przez księcia Nerzach Ramzarakana. Na pierwszym planie znajduje się filar, podtrzymujący kopułę. Żebra, ułożone około rdzenia filaru, ze wszystkich czterech jego stron, przechodzą w łuki, które z jednej strony, rozwijając się, dążą ku ścianom zewnętrznym, z drugiej zaś służą do kolebek i kopuły centralnej, wsparte na kwadratowej podstawie i przechodzącej w ośmiokątny tambur. Katedra z Mren jest typowym kościołem krzyżowo kopulastym bez konch. Obok tego typu utrzymało się jednak również budownictwo konchowe, lecz nie w pierwotnej armeńskiej pra-postaci czterokonchowej (tetrakonchos), lecz w t. zw. trójkonchowej (trikonchos). Musimy choć krótko o tem wspomnieć, chcąc, aby historycznie stały się zrozumiałemi zarówno rozwój architektury ortodoksyjnej, jak i pojedyńcze przykłady tego rodzaju budownictwa, rozrzucone na Zachodzie, np. nad Renem.

Trikonchos powstaje w Armenji w ten sposób, że zamiast przybudówki od strony zachodniej pojawia się kolebka podłużna, z chwilą, gdy powstaje chęć nadania większego znaczenia wydłużeniu, czy to z powodów religijnych, czy też wprost z chęci odtworzenia postaci krzyża z wydłużonem ramieniem środkowem. Kolebka taka zjawia się potem zarówno w małych rozmiarach, bez podpór wewnętrznych, jak i w postaci katedry z podporami; oba typy istnieją w Armenji jedne obok drugich już w VII stuleciu w Talyn, posiadając przytem albo przyjętą dawniej konstrukcję trompowo-kopulastą, albo z istniejącemi już również w VII wieku ostremi, skromemi trompami, czyli t. zw. pendentifami. Jest rzeczą wielce godną uwagi, że na ziemiach bałkańskich, położonych nad Dunajem aż do Mołdawji, panuje prosta bndowla trójkonchowa, obok niej wszakże wznosi się kościół kopulasty krzyżowy, z trzema przybudówkami lub też i bez nich. W pozostałych okolicach, hołdujących kościołowi ortodoksyjnemu, tego rodzaju budowla staje się uprzywilejowaną lub też wyłącznie panującą. **Prof. Dr. Józef Strzygowski.**

Książki i czasopisma nadesłane do redakcji.

❀ Otrzymaliśmy dwa ostatnie zeszyty miesięcznika paryskiego *„La Revue de l'Epoque"* (marzec i kwiecień). Zawierają one następujące prace: „Ankieta o kubizmie" — 40 odpowiedzi artystów i krytyków; „Rozmyślania" — przez C. Laronde'a; „Francis Viele-Griffin" — przez p. Jamati'ego; „Poganizm" (poemat) — przez P. Lesttringueza; „Ecce Homo", sztuka w 4-ch — przez R. Fauchois; „O patologji zawodowej artystów i o orjentacji artystycznej" — przez D-ra H. Dejust'a; „Romans nowoczesny" — przez M. Batillata; „Scytowie" (poemat) — przez A. Bloka; „Aleksander Blok" — przez Z. Tazieffa i R. Viviera; „O przyjaźni" — przez A Mercerau; „Graffiti na ścianach domu" — przez A. Ancelle; „Malarz czarnej linji" — przez G. Laure'a: „...Zwracając się do inteligencji" — przez G. Sauvebois; Literatura i sztuka we Francji: Romans — przez M. Fabri'ego; Poezje — przez M. M.; Sztuki plastyczne — przez St. Schneebergera; Teatry — przez Saintarcy; Filozofja — przez H. Oudon'a; Muzyka — przez M. G.; Psychologja — przez M. Zufall'a; „Śród przeglądów — przez S. D.; Echa — przez A. Fontainas'a i A. Orliac'a; „Przeglądy literackie w Polsce" — przez Edwarda Woronieckiego; „Początki Atlantydy" — drzez Jana Gordona.

❀ *„Ruch Prawniczy i Ekonomiczny"*. 2-gi zeszyt. Na treść zeszytu składają się: *1) Referaty i Tezy* na VII Zjazd Prawników i Ekonomistów Polskich (Prof. Suligowski—W sprawie reformy administracji państwowej; Prof. Kumaniecki—Centralizm i decentralizacja; Prof. Peretiatkowicz — Rada Stanu w Polsce; Wł. Wakar — Zasady organizacji samorządowej *2) Przegląd piśmiennictwa*: 17 recenzji oraz bibliografja z bieżącej literatury polskiej i obcej. *3) Przegląd prawodawstwa:* Prawo konstytucyjne, administracyjne, skarbowe, kronika sejmowa. *4) Przegląd orzecznictwa:* Orzecznictwo karne i cywilne Sądu Najwyższego dla wszystkich trzech dzielnic. *5) Kronika Ekonomiczna*: *6) Miscellanea.*

Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Józef Relidzyński. GAŁĄZ CYPRYSU. Liryki, str. 164 w 16-ce.

Wiktor Przecławski. FELICJAN MEDARD FALEŃSKI. Żywot i dzieła, str. 223 w 8-ce.

Polskie Towarzystwo Naftowe „POLPETROL“ Sp. Akc.

Bilans na 31 Grudnia 1921 r.

Stan Czynny.

Gotówka w Kasie	388.455.—
Kopalnie	178.616.417,16
Tereny . . . . . , ...	11.590.306,—
Papiery procent. (Pożyczka długoter.)	12.000.000.—
Dłużnicy: Banki i różni	2.630.230.77
Rury z kop. Eruptio i Sprudel . .	7.160.000,—
Kaucje	24.000.—
Koszta organiz. i administr. . . .	13.478.992,15
Inwentarz biura w Warszawie . .	1.624.683,10
	227.513.163,18

Stan Bierny

Kapitał Akcyjny. I Emisja . . .	60.000.000,—	
„ „ II Emisja . . .	60.000.000,—	
		120.000.000,—
Kapitał zapasowy		8.954.760,—
P. K. K. P. (lombard pożyczki) . .		9.600.000.—
Rachunek Akceptów		57.300.000,—
Wierzyciele: Banki	6.554.518.—	
Dostawcy i różni	25.103,885,18	
		31:658.403.18
		227.513.163,18

NACZELNY BUCHALTER

(— Podpis nieczytelny).

TYDZIEŃ POLSKI wychodzi w sobotę.
Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 1200 mk., miesięcznie 400 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedyńczego numeru **100 mk.**
Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy milimetrowy 60 mk. — Strona ogłoszeniowa dzieli się na cztery szpalty.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.
Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.
„ „ Poznańskie i Pomorze „Ruch“, Poznań, ul. Pawła 1.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. sukc. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.